Rok I. Lwów, dnia 10. Listopada 1894. **Numer 8.**

Prenumerata we Lwowie i na prowincyi kwartalnie 80 ct., półrocznie 1·50 rocznie 3 złr.
Numer pojedynczy 15 ct.
Numera pojedyncze mają na sprzedaż księgarnie i biura dzienników.

KRONIKA
społeczna i literacka.
Wychodzi dwa razy na miesiąc.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów ulica Kręta l. 10.** I. piętro.
Cena ogłoszeń 10 ct. za wiersz petitowy czterołamowy.
Rękopisów redakcya nie zwraca.

Czem była wystawa?

Wyszumiał ostatni kieliszek szampańskiego, wypity na jednym z niezliczonych bankietów, do historji przeszła ostatnia z tych mów, w których więcej było dekoracyjnych efektów, aniżeli esencji, przemawiającej do słuchacza siłą treści — spadły deszcze i plac wystawy lwowskiej opustoszał, zamykając jeden z najpowabniejszych sezonów letnich. Można już na zimno powiedzić coś o wystawie.

Kto ją stworzył i kto stanął na jej czele? Z wyjątkiem jednego lub dwóch zbogaconych mieszczan i bankierów, na liście twórców wystawy czytaliśmy nazwiska starych „historycznych" rodzin, trzymających do dnia dzisiejszego ster rządów naszego społeczeństwa. Jak wiadomo, żadnej z wystaw jeszcze nie zamknięto inaczej, jak niedoborem. Doświadczenie w tym względzie uczynione, nie mogło oczywiście wróżyć dobrego rezultatu kasowego także lwowskiej wystawie. Wiedzieli zatem inicjatorowie jej, przystępując do dzieła, że o namacalnym bezpośrednim zysku z tego przedsiębiorstwa nie będzie mowy. A zatem kierowały nimi inne jakieś motywy, czysto idealne.

Idealnie i nie. Jeżeli efekt wystawy zechcemy zmierzyć bezpośrednim wynikiem kasowym, w takim razie trzeba przyznać, że twórcom jej rozchodziło się wyłącznie tylko o idealny rezultat, zamknięto bowiem wystawę niedoborem. Ale książęcy i hrabiowscy autorowie tego dzieła, wyjmując z kas werthejmowskich krociowe sumy na to, aby na placu stryjskim wybudować „drugie miasto", patrzali dalej i szerzej, aniżeli te tysiące spektatorów, które szły i powracały z wystawy upojone dźwiękami orkiestry, jasnością elektrycznych lamp i rakietami mów do narodu.

Faktyczne pobudki leżały nieco głębiej, bo w ruchu społecznym. Pod palcami prawie czujemy wzrastanie tego ruchu. Na zachodzie coraz gwałtowniej padają hasła bezwzględnego zniwelowania różnic klasowych, wydziedziczeni rwą się gorączkowo do praw, zaprzeczanych im przez kilka wieków. U nas także wzmógł się i spotężniał ten naturalny napór ku cywilizacyi i sprawiedliwości. Klasy posiadające, których wyłączność w moralnem i materjalnem decydowaniu o losach społeczeństwa nie wiele osłabła od czasu runięcia szlacheckiej rzeczypospolitej, ujrzały się zagrożone rozszerzającym się, jak pierścień wody, ruchem proletarjatu. Tu był początek głuchej zaciekłej bezkrwawej walki, z jednej strony o byt, z drugiej o przywileje.

Począwszy od wyborów, przeprowadzanych zapomocą historycznej wódki i kiełbasy, a skończywszy na klątwach, rzucanych z ambon na pisma, sprzyjające ruchowi ludowemu, użyto wszystkich środków walki. Ścigając przywódców, t. j. tych, w których skrystalizowały się nowe idee, kładziono wędzidła na całą robotę; równocześnie jednak potrzeba było w rachubę wziąć szerokie masy, o które szła gra, potrzeba je było uspić, znieczulić, otumanić jak haszyszem.

W środkach szerokiego programu konserwatywnego, znalazła się wystawa, jako... antidotum. Uplastycznić społeczeństwu błogie owoce dzisiejszego stanu rzeczy, odurzyć mu nerwy szeregiem błyskotliwych, choć teatralnych efektów, aby przedłużyć sobie o kilkanaście lat fazę... konania. To był cel. Program spełnił się co do joty. Widzieliśmy potemkinowe dekoracye dobrobytu galicyjskiego, którego darmo szukać w rzeczywistości, na placu stryjskim panowała jedność wszechstanów, książe ściskał się z mieszczaninem, na pokaz sprowadzono nawet wykarmionych i czystych braci włościan (głodni zostali w domu), potraktowano ich, wycałowano i wyściskano, aby przy wyborach mieć z nich marjonetki, posłuszne woli wielkich „obszarników", Lwów i prowincya stawiły się w krociowych kadrach, kongresowiacy spłakali się na nutę mazurka Dąbrowskiego, na ustach każdego były szlachetnie urodzone nazwiska i efekt powiódł się skończenie.

A nędza i niedola jak były w kraju, tak są dalej. Nie usunie ich kilka fabryk, które zaprojektowali na zjazdach posiadacze wielkich kapitałów,

ani kółka rolnicze, ani tym podobne plasterki na jątrzące się rany naszego społeczeństwa. Rana jest zbyt wielka i bolesna, a lekarstwo nieproporcjonalnie słabe. Oprócz kilku tysięcy przyzwoicie ubranych chłopów, stanowiących *sui generis* arystokrację wiejską, zostały po wsiach miljony proletarjatu bezrolnego i miljon jednomorgowych nędzarzy, których wykluczono z programu. Ci nie potrzebni, bo dość opanować górne warstwy chłopskie, aby trząść całem chłopstwem.

Frazesowicze nasi wmówili w siebie, że cały świat drży przed wystawą i cały świat na nią patrzy. Nie, panowie. Ani w Sztokholmie, ani w Madrycie już nic nie wiedziano o lwowskich fajerwerkach. To była tylko atomowa cząsteczka tej ludzkiej komedyi, którą jedni chcą trzymać na uwięzi drugich, aby tem lepiej używać plonów nieswojej pracy. „Ktoś nie spi, aby spać mógł ktoś“ powiedział Hamlet.

Gdybyśmy chcieli zabawić się w malowanie kontrastem, sam przypadek nasunął nam nieporównanie wdzięczną ku temu sposobność. W dniu, w którym wystawę zamknięto, cząsteczka uświadomionego proletaryatu polskiego odbyła walną naradę nad jednem ze swoich żądań. Z ratusza rozległ się spiew, apoteozujący „nowy ład“. Na ulicach Lwowa stały piesze i konne pułki w przewidywaniu rozruchów. Nie było ich. Ludzie rozeszli się do domów, spokojni o świt, którego może sami jeszcze nie doczekają. W tym dniu zamknięcia wystawy mimowiednie otarły się o siebie dwa prądy. Jeden, poparty kieszenią bogatych jednostek, drugi siłą swojej treści i krwią, rozlaną na bruku Ostrawy, Łodzi i Wiednia. Wyrazem pierwszego z nich była właśnie wystawa.

Psychologja anarchizmu.

II. Główne koryto indywidualizmu nie przeciwko nauce jednak się zwróciło. Współczesny mistycyzm z anarchizmem w najdalszem tylko źródle jest spokrewniony; w biegu swym strumienie te dawno się rozeszły i często drobne, lecz bardziej jaskrawe różnice zacierają wspólne, głęboko ukryte pochodzenie.

Przeciwko wszystkim dzisiejszym poglądom społecznym, przeciwko prawom, na których, jak na szkielecie ciało społeczne się rozciąga, wytężył anarchizm swoją filozofię i etykę, przeciwko tym, którzy prawom ulegać pragną, skierował bomby swoje i kule. Proudhon w dziedzinie socyologii, Stirner w etyce już dawniej ideały anarchistyczne głosili. Już Stirner powiada:*) „Ob ein armer Narr des Tollhauses von dem Wahne besessen ist, er sei Gott der Vater, Kaiser von Japan oder ob ein behaglicher Bürger sich einbildet, es sei seine Bestimmung ein guter Christ, ein gläubiger Protestant, ein loyaler Bürger, ein tugendhafter Mensch u s. w. zu sein, das ist beides ein, und dasselbe *fixe idee*“. (Czy biedny waryat z zakładu obłąkanych sądzi, że jest Bogiem Ojcem, cesarzem japońskim, czy też poczciwy obywatel wmawia w siebie, że obowiązkiem jego jest być dobrym chrześcijaninem, wierzącym protestantem, lojalnym poddanym, cnotliwym człowiekiem i t. d. to jest jedna i ta sama *idée fixe*). Wszystkie obowiązki, z których wiele zmieniło się już w automatyczne nawyknienia, stanowiące treść więzów społecznych, ogłasza Stirner za szaleństwo. I ze swego stanowiska ma racyę. Odrzuciwszy pojęcie społeczeństwa jako czegoś od jednostki wyższego, obszerniejszego, przypisując mu tylko znaczenie bezkształtnej sumy współcześnie żyjących, musi on konsekwentnie odrzucić i nazwać waryactwem wszelkie pęta, które ze społeczeństwa sankcyę swoją biorą. Możnaby mu wprawdzie zarzucić, że i wtedy nie są one *idée fixe*, bo *idée fixe* dla jednostki nią dotkniętej jest szkodliwą, gdy tymczasem owe pęta umożliwiają życie i czynią je wygodniejszem, a zatem są jednostce wysoce pożyteczne. Kryteryum pożyteczności jest jednak w tym wypadku zdradliwem, bo powinno ono polegać nie na naszej ocenie, lecz na ocenie tego, kto opętaniu ulega. Kto może rozstrzygnąć, czy szaleniec, który się uważa za cesarza japońskiego, nie jest szczęśliwszy, niż byłby wtedy, gdyby mu nagle zmysły powróciły.

*) Stirner. „Der Einzige und sein Eigenthum“.

Najgłówniejszym, najpełniejszym wyobrazicielem filozofii anarchistycznej jest Nietzsche. Nie zrażajmy się tem, że Nietzsche ma do anarchizmu nieubłaganą nienawiść, że anarchistów „psami, wyjącemi po zaułkach cywilizacji europejskiej“ nazywa; to właśnie dowodzi, że jest im bardzo bliski. Tak nienawidzieć można tylko brata. Dzieła Nietzschego w krótkim czasie obiegły całą Europę i wywołały wrażenie wstrząsające, zyskały bałwochwalczych prawie wielbicieli, choć wielu też przeciwników. U Nietzschego napróżnobyśmy szukali wyrozumowanego systematu, wypracowanego we wszystkich swych konsekwencjach. Dzieła Nietzschego pełne są nieraz sprzeczności i jedność ich polega nie na przeprowadzeniu pewnej głównej idei, lecz na ogólnym psychicznym nastroju, na pewnej sumie cech umysłowych i uczuciowych, które powstanie wszystkich poglądów Nietzschego warunkują. Sposobem pisania nawet — pisma Nietzschego składają się z krótkich przeważnie aforyzmów — zbliża się on do dawnych filozofów starożytnych, którzy łączyli w sobie jeszcze zadanie filozofa i poety. Ideał Nietzschego, streszczony w ostatniem i najważniejszem jego dziele: „Also sprach Zarathustra“, to jednostka w najwyższym swym rozkwicie, „Übermensch“, nadczłowiek, już nie *kaloskagatos* grecki (piękny i dobry), ale *kallistos kaj aristos* (najpiękniejszy i najlepszy). „Nadczłowiek“, to piękność i doskonałość bezwzględna, wyłuszczona ze społecznych powijaków, dla siebie sama celem będąca. „Nadczłowiek“ to wyższy gatunek w drabinie zoologicznej, o tyle nad ludzkością wzniesiony, o ile ta nad zwierzęciem góruje. „Czem jest małpa dla człowieka?“ pyta Nietzsche i odpowiada: „Śmiesznym lub bolesnym wstydem. Tem samem jest człowiek dla nadczłowieka“. Nadczłowiek musi być wolny od społeczeństwa, bo sama istota życia społecznego nakłada i nakładać musi na uczucia i czyny jednostki żelazny hamulec, a ten, kto jest spętany, komu całe dziedziny uczuć

są niedostępne, nie jest już całkowity i nie jest bezwzględny. Przecież te uczucia, które postęp społeczny albo niemożliwemi uczynił, albo mianem zbrodniczych piętnuje, (nienawiść, okrucieństwo, żądza krwi, rodem), tworzyły niegdyś bohaterów: przecież zawierać one mogą, dla tego, kto je przechodzi, całą skalę wrażeń rozkosznych, które życie jednostki czynią głębszem i pełniejszem. Nadczłowiek, to jednostka wolna od wszystkich pęt i praw, nie znająca żadnej myśli i uczucia, któreby dla niej było niemożliwe. Dla osiągnięcia swego ideału, dla jednego nadczłowieka, gotów jest Nietzsche bez jednej łzy współczucia — anarchizm zawsze jest bezlitosny — cały ród ludzki poświęcić. W imię swego ideału Nietzsche jest nieubłaganym wrogiem wszystkiego, co opóźnić może jego przyjście, wszystkiego, co kaleczy i oszpeca ciało i duszę!

Przyjaciółmi są, którzy mają wrogów wspólnych. W myśl tej zasady nie ma lepszych przyjaciół nad Nietzschego i anarchistów czynu. Nietzsche jest zapamiętałym wrogiem chrześcijaństwa i wszystkiego, co chrześcijaństwo światu przyniosło; socyalistami zbyt pogardza, aby mógł ich nienawidzieć. Moralność nasza dzisiejsza, ze źródeł chrześcijańskich płynąca i tam nawet nie wyschła, gdzie źródło dawno już bić przestało, szczególnie jest przez Nietzchego zwalczana. Uważa on ją za moralność wylęgłą ze strachu, za moralność niewolników, ludzi podległych, którzy narzuciwszy światu swój ideał, wyidealizowanych siebie samych, najstraszniejszą tem zemstę za niewolę swą wywarli. Tej moralności niewolniczej (chrześcijaństwo nazywa Nietzsche *jüdischer Sclaven Aufstand*, powstaniem żydowskich niewolników) przeciwstawia Nietzsche moralność ludzi wolnych, moralność wyniosłą *(vornehm)* i nie waha się naprzeciw przykazania „kochaj bliźniego, jak siebie samego“ postawić przykazanie swoje: „*Werdet hart*“ (Bądźcie twardzi). Myśli te najdokładniej zamieniają w czyn anarchiści. Oni są *hart* i nie dbają, kto padnie ofiarą ich zamachów, bo każdy zarówno jest ich wrogiem. Oni również nienawidzą idei Boga który dla nich jest „strachem ludzi dzikich“ (Malato), a ze wszystkich religij najbardziej nienawidzą chrześcijanizmu. Chrześcijanizm i anarchizm pogodzić się nie dają. To dwa całkiem odmienne bieguny ducha. Anarchizm to niepowstrzymany pęd jednostki, która pragnie położyć despotyczną rękę na swojem stuleciu i zerwać wszystkie pęta, które zawadzają; chrześcijanizm — to najpotężniejszy czarownik, który ludzkość wikła w sieci. Religia uznaje przecież nad jednostką potęgę wyższą, do której wszystkie czyny i myśli ludzkie się ściągają. Jednostka o tyle może być szczęśliwą, o ile postępki jej z wyrażoną wolą tej wyższej istoty się zgadzają. Myśl podobna jest z duchem anarchizmu całkiem sprzeczna.

Masy czy bohaterowie?

Motto: Gromada, to wielki człowiek.

II. Zdobycze naukowe również wyraźnie świadczą o ciągłym i nieprzerwanym łańcuchu poszukiwań i o sumie drobnych zysków. Zazwyczaj uważa się całą wiedzę za dzieło kilku geniuszów, którzy jak starożytny Atlas podtrzymują świat i bez których ludzkość pogrążoną by była w dzikości i barbarzyństwie. Patentowani historycy sądzą, że pomiędzy owymi geniuszami, którzy niby to przedstawiają jedyne źródło naszej wiedzy, a tłumem, który świeci jedynie odbitem, a zatem cudzem światłem, istnieje nieprzebyta nigdy przestrzeń. Lecz takie zapatrywanie jest zupełnie fałszywe i wobec sumiennej krytyki żadną miarą ostać się nie może. Ażeby je zbić, wystarczy przytoczyć wynik, do jakiego doszliśmy w pierwszym artykule, a mianowicie, że większą część wiadomości, wymagających specyalnych badań, zawdzięczamy nieznanym badaczom. Jednakowoż musimy tutaj rozróżnić prawdy, które same przez się są zrozumiałe, od prawd, wymagających dowodzenia. Pierwsze są udziałem wszystkich ludzi i zjawiają się w każdym umyśle w pewnem stadyum rozwoju, o nich przeto mówić nie będziemy. Inaczej rzecz się ma z drugiemi prawdami, które stanowiąc właściwą naukę, wymagają pewnych zdolności, przygotowawczego wykształcenia i metodycznego argumentowania; dlatego też to pole jest wyłączną własnością uczonych. Atoli i tu widzimy masę nieznanych badaczy i jednostki wybitne, których imiona błyszczą świetnym blaskiem, jak biblijny słup ognisty. Zajmowanie się tymi ostatnimi jest przeoczaniem najważniejszych faktów, jednostronnem, a nawet fałszywem pojmowaniem rzeczy. Najlepiej świadczy o tem matematyka, której podstawowe twierdzenia należą do bezimiennych.

Żadna bowiem umiejętność nie wyskoczyła, jak Minerwa w pełnem uzbrojeniu, przeciwnie rozwija się ona pomału, zdobywając nowe prawdy, dzięki nieustannej obserwacyi i doświadczeniu. Niewątpliwie geniusz rozwija większą siłę umysłową, aniżeli inni, lecz siła ta umysłowa geniusza jest niczem wobec siły umysłowej wszystkich ludzi, pracujących w jakiejś kwestyi. Nie mamy ani jednego przykładu, aby jednostka, choćby genialna, wykryła doniosłą prawdę bez poprzednich, przygotowanych prac. Kant np. twierdzi w dziele *Kritik der Urtheilskraft*, że geniusz nie ma nic wspólnego z umiejętnością i ogranicza jego działalność tylko do zakresu sztuk pięknych. Macaulay zaś porównywa geniuszów do ludzi, stojących na górach, gdzie promienie słoneczne prędzej padają, aniżeli w dolinach. Przenośnia ta znaczy, iż wielcy ludzie odkrywają jakieś prawdy prędzej, niż inni, ale jak światło słoneczne także w dolinę sięga swojemi promieniami, tak i owe prawdy bez geniuszów stałyby się w końcu udziałem tłumów, wprawdzie trochę później, co atoli rzeczy wcale nie zmienia. *Umysły wyższe są podobne do soczewki skupiającej promienie światła; one formułują to, co już w tłumach wre i krąży.* Cechą geniusza jest raczej potężna zdolność przyswajania sobie prawd istniejących, aniżeli dar ich wynajdywania. Bourdeau wyraża się w tej sprawie obrazowo: „geniusz wyciska swoje piętno na sztabach złota, wyprodukowanych przez tłumy i, niedodając nic do wartości szlachetnego kruszcu, wydobytego, stopionego i oczyszczonego przez nieznanych robotników, puszcza je w obieg jak monarchowie monetę ze swoim obrazem“. *Prawda jest zdobyczą i dziedzictwem ogółu badaczy.*

Podział pracy. który podziwiamy w przemyśle, zaczyna mieć zastosowanie i w naukach. Wiemy np., że Niemcy jakkolwiek nie wydali żadnego epokowego dzieła jak np. Francuzi lub Anglicy (Newton, Laplace, Darwin), to jednak walczą o lepsze z innymi narodami, właśnie dlatego, ponieważ praca u nich prowadzoną jest na kolosalne rozmiary.

Przyszłość nauki należy niewątpliwie do demokracyi naukowej. Lecz sięgnijmy do cyfr, one nam najlepiej rzecz przedstawią. I tak katalog „Pamiętników naukowych“, wychodzących w Londynie, liczył od roku 1800 do 1863 przeszło 200.000 memoryałów, z których każdy zawierał sprawozdanie z badań samodzielnie podjętych. Gdybyśmy mogli obliczyć wszystkie zdobycze nauki we wszystkich krajach i czasach, to okazałoby się, że zdobycze, poczynione przez geniuszów, są niczem wobec zdobyczy utajonego geniusza mas. Zestawmy z tym utajonym geniuszem Arystotelesa i Newtona, a przekonamy się o prawdziwości tych słów. Arystoteles to właściwie genialny kompilator, który streścił wszystko to, co starożytność wydała. Sława jego stąd pochodzi, że nie wiemy nic o jego poprzednikach, z których czerpał. Bakon trafnie o nim się wyraził, że jest podobnym do książąt ottomańskich, którzy wstępując na tron, duszą swoich braci. Sława zaś Newtona polega głównie na odkryciu prawa powszechnego ciążenia. Wolter na serjo twierdził, że spadające jabłko było powodem odkrycia ogólnego ciążenia przez Newtona. Lecz sąd taki jest farsą, wiemy bowiem, że zagadnienie to dawno było poruszane i gdy się do niego wziął Newton, było niemal rozstrzygniętem. Nie sięgając starożytnych, przytoczymy Dantego i Lukrecjusza, którzy przypuszczali, że wszystkie ciała są przyciągane do środka ziemi. Astronomowie XVI. i XVII. w. przeczuwali na podstawie pewnych danych siłę przyciągania. Kopernik i Keppler wskazywali na słońce, jako centrum tej siły, a drugi z nich poraz pierwszy wymówił wyraz atrakcya. Tycho de Brache, przeciwnik Kopernika, przypuszczał istnienie grawitacyi. Kasteryan Howeliusz i inni próbowali sformułować to prawo. Tak więc w połowie XVII. w. wskutek licznych prac w tym kierunku podjętych stoimy u progu tego prawa.

Twierdzenie bowiem Huyghensa pozwalało obliczyć siłę wpływu wywieranego przez słońce na planety, a trzecie prawo Kepplera określało, w jakim stosunku do odległości wpływ ten maleje. Zasługa Newtona polega jedynie na tem, że dowiódł rachunkiem prawo ciężenia, które rządzi ruchem planet. Zresztą i Newton nie podał całkowitego dowodu, wiele jeszcze pozostało do zrobienia wobec budzących się wątpliwości. Prace La Verriera, Laplacea i innych usunęły wszystkie wątpliwości i pozyskały dla systemu wszystkich uczonych. A zatem możemy ogólny wniosek wypowiedzieć, że umiejętność jest nietyle produktem garstki uprzywiljowanej, ile raczej zdobyczą mnóstwa badaczy, częstokroć nieznanych.

Emil Jarmulski.

Der Drang nach Westen.

Ostatnimi czasy pojawiły się w Niemczech dzieła naukowe, z zakrojem publicystycznym, które wykazują wzrost i posuwanie się żywiołu polskiego na zachód ze szkodą żywiołu niemieckiego. Nie wchodząc w bliższy rozbiór tendencyj tych dzieł, które są nam wrogie, przytaczamy jedynie rezultaty, do jakich doszli niemieccy autorowie. Wszystkich prac oczywiście nie będziemy przechodzili, bo treść ich kręci się około tego samego przedmiotu, lecz przytoczymy dwie tylko, które są najlepsze i postawioną tezę najbardziej wyczerpująco udowadniają.

I tak w dziele Webera p. t. *Der Drang nach Osten* czytamy, że prąd ten z zachodu na wschód, który bez przerwy niemal trwał przez kilka wieków i Słowian nadłabskich z ich dawnych siedzib wyparł, dziś już zupełnie ustał i że rozpoczął się prąd nowy, wprost przeciwny dawnemu t. j. ze wschodu na zachód, wskutek czego Prusacy coraz dalej na zachód ustępują. Stałym jest mianowicie objawem emigracya Niemców ze wschodnich prowincyj i zastępowanie ich tańszą, polską siłą roboczą. A ponieważ warunki ekonomiczne są zasadniczym powodem zmian politycznych i społecznych, przeto one i tu grają pierwszorzędną rolę i są motorem wyż wymienionego zjawiska. W dzisiejszej kapitalistycznej, pieniężnej, formie produkcji, której znamiennym rysem jest użycie jak najtańszej siły roboczej, Niemcy, mając wyższe cywilizacyjne wymagania, aniżeli Polacy, nie mogą oczywiście pracować za zapłatę, spychającą człowieka do rzędu niemal zwierząt. W walce tej konkurencyjnej wszędzie zwyciężają Polacy, bo mniejszem niż Niemcy, zadowalniają się wynagrodzeniem. To też polska siła robocza jest z Niemczech nadzwyczaj poszukiwaną. Czy niemiecki właściciel nie może, czy nie chce więcej płacić, w to nie wchodzimy, zresztą to rzeczy wcale nie zmienia. Jego praktyczny, prawdziwie kupiecki rozum, wobec trudnych warunków ekonomicznych, każe mu tak, a nie inaczej, postępować, w przeciwnym razie zgotowałby sobie ruinę. Zauważyć nadto należy, że roczny przyrost ludności niemieckiej, wynosi trochę więcej niż 5 na tysiąc, podczas gdy ten sam przyrost u Polaków wyraża się cyfra 10·09. Ale na tem nie koniec. Przypatrzmy się chłopskiej własności. W Niemczech mianowicie istnieje niemal wszędzie *t. zw. Hofsistem*, polegający na tem, że własność nieruchoma przechodzi spadkiem na jedno rodzeństwa, z wskutek czego liczne rodziny, jako bardzo niepożądane, zdarzają się rzadko, natomiast Polacy dzielą swoje grunta, za czem idą częstsze małżeństwa, liczniejsze rodziny, większa ruchliwość ludności, a w końcu większa potrzeba szukania chleba po za granicami rodzinnego gniazda. Z tych więc wymienionych powodów Polacy mimo wyjątkowych ustaw kolonizacyjnych, bannicyjnych i wszelkich innych obmyślanych na powstrzymanie ich wzrostu, z każdym rokiem posuwają się coraz bardziej na zachód, dając swe piętno całym nieraz wsiom, a nawet miasteczkom czysto niemieckim. Polacy dosięgają nawet już tych okolic, gdzie ślad słowiańskich praojców był od wieków zupełnie wytępiony jak n. p. Pomorza i Meklemburgii.

Postęp zatem etniczny polskości jest stwier-

dzony faktami, chodzi teraz o to, w jakich on się przedstawia rozmiarach. Do tego posłuży nam broszura Hubbego Schleidena p. t: „*O przyszłem rozmieszczeniu narodów w Europie*“. Z pracy tej, zasypanej formalnie niezliczoną ilością cyfr, wyjmujemy najważniejsze. W roku mianowicie 1850 było w okrągłych cyfrach Niemców 52 milionów, Słowian 63 mil. Anglików 55 mil. a narodów romańskich 113 mil. W dwadzieścia pięć lat później t. j. w 1875 naliczono: Niemców 84 mil. Słowian 63 mil. Anglików 90 mil. narodów romańskich 127 mil. W przyszłości rozrost każdego z wymienionych narodów prawdopodobnie się nie zmieni, w tym samym stosunku nadal będzie postępować. Wojny bowiem, chociażby najkrwawsze, mogą pochłonąć co najwyżej kilkaset tysięcy ludzi, co wobec cyfr poniżej umieszczonych jest niczem. P. Schleiden, trzymając się metody ekonomisty Ravensteina, która dotychczas nie zawiodła, a zatem jest dobrą, obliczył, z wielką dokładnością, że za lat sto Niemców będzie 146 mil. Słowian 275 mil. Anglików 927 mil. a narodów romańskich 212 milionów.

Wskutek tak olbrzymiego wzrostu ludności, w Europie będzie coraz ciaśniej, w walce zaś ekonomicznej szczepy potężne liczbą będą naciskały na słabszych liczebnie sąsiadów. Anglików, Rosjan i narody romańskiego pochodzenia należy z rachunku usunąć z tego powodu, że narody te posiadają obszerne kolonie *) dokąd będą mogły nadmiar ludności wysyłać. Pozostają zatem Słowianie bez Rosjan, którzy zetrą się z Niemcami i wyprą ich aż do Łaby, bo tyle ziemi będzie im potrzeba. A ponieważ pomiędzy Słowianami bez Rosjan Polacy są najpotężniejsi liczbą, przeto oni staną na czele tej akcji, która zapewni im w Europie stanowczą przewagę. Europa wówczas będzie miała charakter słowiański, polski, a *furror teutonicus* ustanie na zawsze.

L. F.

Nowy Messyasz.

I. Nietzsche! Nietzsche! Twórca trzeciego testamentu, nowy zbawiciel! Oto głosy, obwieszczające światu jednego z owych opatrznościowych, w którym zaostrzone stosunki życiowe doszły do swego uświadomienia. Za jego pośrednictwem powstaje dogmat zapładniający umysły, przenoszący je pod zrozumialszą postacią sztuki na masy, aż kiedyś zdobywszy sobie większość, stanie się *normą*.

Poezya północy najnowszej doby na nim urasta. Jerzy Brandes czyni zeń przedmiot swoich odczytów. Strindberg i Edward Brandes czerpią z niego natchnienie, a Ibsen jest dziś pod jego wpływem. Cała plejada najmłodszych pisarzy niemieckich usiłuje go naśladować, budując przyszłość sztuki na podwalinach Nietzschowskiego granitu.

I któż to taki ten Fryderyk Nietzsche?

Wiemy o nim, że jest potomkiem polskiej rodziny Nieckich, która w roku 1715 wyemigrowała do Niemiec. Wiemy dalej, że w bardzo młodym wieku został profesorem filologii klasycznej w Bazylei i napisał kilkanaście dzieł najrozmaitszej treści. Wiemy w końcu, że dziś jest tylko biednym waryatem, umiejącym zaledwie kilka luźnych cytatów greckich, które śpiewa na nutę melodyi z opery „Carmen“. Ale tu znika człowiek poza jego dziełami a pozostaje postać intelektualna i moralna, niepodobna może do tej, która błądziła po świecie.

Kiedy Nietzsche około roku 1870/71 wydał pierwsze swoje dzieło p. t. *Geburt der Tragödie aus dem Geiste der Musik,* napisane pod wpływem Wagnera, tkwił jeszcze głęboko w romantycznym pesymizmie swojego czasu. Będąc do pewnego stopnia uczniem Schopenhauera stworzył sobie na wzór wszystkich pesymistów-romantyków swój własny świat metafizyczny i z niego wszystko oceniał. Lecz problemat o stałych zarysach, nie długo dał czekać na siebie. Myśliciel potrzebował pokarmu, i na razie stał się nim problemat wiedzy, jako zjawiska życiowego. Tu też wyszła zupełnie już na jaw jego odrębność, bo oceniając wiedzę ze stanowiska sztuki, zapatrywał się na tą ostatnią ze stanowiska życia. Sposób ten widzenia rzeczy zamknął w dziele p. t. *Unzeitgemässe Betrachtungen*, stanowiącem ostatni etap na drodze romantyczno-pesymistycznych dociekań. Widząc przed sobą przepaść, w którą wpadają wszyscy pesymiści romantycy, przepaść rezygnacyi i chrześcijańskiego ascetyzmu, zwraca się Nietzsche do życia. Przebiegłszy je z uśmiechem na ustach, składa zdobycze tej wędrówki w szeregu aforyzmów p. t. *Menschliches, Allzumenschliches*. Wskazuje w niem Nietzsche wszystkie niedołęstwa i słabości ludzkie, ale bez gniewu i desperacyi nad niepoprawnością rodzaju ludzkiego, bo widzi w tem, co dotychczas za złe uważano, siłę i piękno. Od tej też chwili zaczyna Nietzsche działać jako myśliciel-filozof, oparty na realnej życiowej podstawie i po kolei ukazują się dzieła: „*Morgenröthe*“, „*Der Wanderer*“, „*Die fröhliche Wissenschaft*“, „*Also sprach Zarathustra*“, „*Jenseits von Gut und Bös:*“, „*Zur Genealogie der Moral*“, „*Der Fall Wagner*“, „*Götzendämmerung*“ i t. d.

Co to jest złe i dobre? pyta Nietzsche.

Jest to olbrzymia, szczytem do niebios wznosząca się skała, złożona ze skamieniałych uprzedzeń i przesądów. Po za nią szczęście, ale wedrzeć się po niej nie mogą duchy ulegające przesądom. Dla ducha jednak wolnego znika sama z siebie, i otwiera horyzonty po za złem i dobrem, gdzie człowiek mogąc rozdzierać drugich, nie upadł na duchu, aż do rozdzierania samego siebie. Człowiek w najgłębszej swej istocie jest zwierzęciem drapieżnem. Jest to cechą nie tylko dzieci i ludzi nieucywilizowanych, ale zarówno cechą ludzi wielkich, którzy ludzkość pchnęli naprzód. I oni mają ową bezwzględność i brak litości dla swych przeciwników i z nich wygląda drapieżca. Pogwałcenie tego instynktu stworzyło sumienie, a z tego urosły nowe czynniki, jak rezygnacya, poddanie się, pozbawienie się woli, pesymizm i wogóle ideał ascetycznej bierności.

Co to jest moralność?

Moralność nie jest niczem absolutnem. Od początku świata były dwie moralności. Cisnących i uciśnionych, czyli, jak mówi Nietzsche, panów i niewolników. Panowie, rasa lepsza, silniejsza, a tem samem uprawniona do panowania, rozróżnia

*) Nie rozumiem dlaczego p. Schleiden nie wyłączył Niemców, wszak i oni posiadają kolonie w Afryce.

gut — dobre, t. j. wszystko, co z niej i od niej pochodzi i *schlecht* — złe, t. j. wszystko, co jest niewolnikiem i niewolniczem. Niewolnicy, rasa gorsza, słabsza, rozróżnia *gut* — dobre, co od niej pochodzi, a *böse* — złem, nazywa wszystko, co w stosunku do niej wychodzi od panów. I tak *dobre* panów znaczy: wspaniałe, potężne, piękne, szczęśliwe, zaś *dobre* niewolników znaczy: nędzne, słabe, brzydkie nieszczęśliwe i t. d. Dwie te moralności walczą od początku świata ze sobą, wypychając się od czasu do czasu ze stanowiska. Pierwsza kulminowała w starożytności i renesansie, druga w żydowsko-chrześcijańskim dogmacie wiary i dzisiejszej socyalnej demokracyi. Jedna dąży do wyniesienia jednostek silnych i pięknych nad poziom, druga do ściągnięcia tych wyskakujących do równego dla wszystkich poziomu. Zależy teraz od tego, która z nich ma być obowiązującą. Nietzsche powiada, że moralność panów, jako taka, która jedynie stworzyć może coś prawdziwie wielkiego i pięknego, potężnego i szczęśliwego, podczas kiedy moralność przeciwna jest poniżającą. Dotychczas silne i potężne indywidyum ustępować musiało trzodzie zarówno słabych, zarówno ułomnych cieleśnie i duchowo ludzi, udowadniających już swem zbijaniem się w trzodę, swą osobistą bezsilność.

Maeterlinck na scenie polskiej.

Każdy z nas przypomni sobie zapewne z własnego doświadczenia czy też opowiadania osób innych chwile, w których wobec stanu własnej duszy stał jakby przed jakąś dziwną a tajemniczą zagadką. Stany te i sensacye nimi wywoływane, miały zawsze tą dziwną a tajemniczą własność, że zdawały się powstawać bez żadnego wiadomego — zmysłowo uchwytnego — powodu. Są to jakby przejawy świata innego, obcego naszym zmysłom, oderwanego od wszystkiego, co nas codziennie otacza. Związek ich z światem zmysłowym jest zaś, *jeżeli jest*, tak skomplikowany, że dla nas na razie niewidoczny. Ale, że świat ten zajmuje dużą część naszej istoty, że jego przejawy stanowią niemal połowę naszego życia, że w nim jest źródło owych nastrojów, które najpotężniej wbijają się w pamięć, przeto nie może przejść niepostrzeżenie i bez odbicia się na dziełach sztuki, jako symbolach przejawów życiowych.

Potrzeba uzmysłowienia tych stanów objawiła się, pominąwszy odosobnione wypadki, już w szalonych wizyach średniowiecznych ascetów, naiwnych malowidłach prerafaelitów, a wreszcie najpotężniej w romantykach z końca-ubiegłego i początku bieżącego stulecia, będących reakcyą przeciwko filozoficznej martwocie wieku ośmnastego.

I dzisiaj najmłodsza generacya poetów francuskich przesycona płodami naturalizmu malującymi tylko widomą, zewnętrzną część życia, rzuciła się do przedstawiania tej drugiej połowy, której tajemnicza i niedopowiedziana forma przejawów miała dla niej urok nieprzezwyciężony. Pod nazwą dekadentów, symbolistów, parnasistów i t. d. przedstawiają poeci ci odmiennie od romantyków, walczących dyabłami i duchami, tę tajemniczą stronę życia ludzkiego pod postacią obrazów ze świata realnego zmysłów. Rzuciwszy się do wszystkich rodzajów poezyi, opanowali oni i dramat, który, jako rodzaj działający bezpośrebnio na zmysły, najtrudniejszym był do opanowania i wymagał nowej zupełnie formy.

Pierwszą próbą w tym kierunku jest „Gość nieproszony“ (L'intruse) Maurycego Maeterlincka.

W pokoju, oświetlonym jedną lampą, siedzi sześć osób a główną z nich jest ślepy ośmdziesięcioletni dziadek. W przyległym pokoju leży ciężko chora jego córka. Wszyscy są dobrej myśli, bo chora ma się lepiej i śpi, tylko dziadka trapią złe przeczucia. Otoczenie przejmuje się zwolna nastrojem dziadka, a pokrywając stan prawdziwy obojętnością, ulega coraz to więcej jego przeczuciom. Napróżno zwracają rozmowę na różne przedmioty. Z nieubłaganym uporem ułomnych powraca dziadek do swych przywidzeń. Zmilknienie słowików, ucieczka łabędzi, dzwonienie kosy ogrodnika, niedomykanie się drzwi, niewytłomaczone kroki w sieni domu, to wszystko, jedno po drugiem, zmienia się w umyśle wiecznymi ciemnościami otoczonego starca, w zapowiedź czegoś, co się stać ma niedługo. Wreszcie nabierają przeczucia jego takiej siły, że stają się dlań niemal pewnością. Otoczenie w miarę stopnia pokrewieństwa i usposobień rozdrażnia się coraz więcej i więcej, gdy nagle w chwili największej grozy otwierają się drzwi prowadzące do pokoju chorej, a w nich ukazuje się zakonnica, dająca znak, że chora już nie żyje.

Cóż więc jest treścią „Gościa nieproszonego“? Działanie blizkości śmierci na tych, którym ona ma zabrać ukochaną osobą. A co jest celem tej sztuki? Celem — jeżeli koniecznie ma się mówić o celu — jest wywołanie tego samego nastroju w widzu, któremu podlegają osoby dramatu, to też się Maeterlinkowi zupełnie udało.

Pośród ogólnego spokoju wchodzi pomiędzy tych sześcioro ludzi coś, co im spokój zabiera. Wyłoniwszy się jako przywidzenie niejasne w umyśle dziadka, wzrasta do niepokoju, rozdrażnienia, obawy, przestrachu, a wreszcie udziela się wszystkim do najwyższej grozy, tak, że w chwili, kiedy się dowiadujemy o śmierci chorej, wydaje nam się, że nam to ulgę sprawia. Stało się, co się mogło stać najgorszego, ale minęła przynajmniej niepewność, minął strach przed czemś, czego zobaczyć ani poznać nie można.

Czy to wrażenie zostało osiągnięte przedstawieniem „Gościa nieproszonego“ na scenie lwowskiej? Tak, i to w wyższym stopniu, niż się można było spodziewać pomimo nader niekorzystnych dla sztuki warunków. Pierwszym niekorzystnym warunkiem było tłomaczenie, nie będace w stanie oddać stopniowania w tonie i szyku zdań oryginału, drugim sama scena teatru skarbkowskiego, nie dozwalająca skupienia, potrzebnego do rzeczy tak drobnych, trzecim nierównomierne przeskoki u wykonawców. Kobiety grały bez zrozumienia, a z mężczyzn jeden p. Hierowski stanął na wysokości swojego zadania. W całem wogóle wykonaniu raziła mocno deklamacya i patos, który tym razem okazał się anachronizmem w całej pełni.

Mimo to wszystko jednak, pojedyncze środki, jakimi się posługuje Maeterlinck, wypełniły swoje

zadanie, i zdołały się wynieść ponad zbytnio wysuwającą się indywidualność wykonawców, a kto umiał odróżnić rzecz od wykonania, ten przyznać musi. że ze sceny skarbkowskiej powiało oryginalne tchnienie prawdziwego poety *S. W.*

Ruch teatralny.

(„Maruder" komedya Graybnera. „Druga pani Tanqueray" sztuka z angielskiego).

Stanowczo nie może się Lwów doczekać sezonu serjo dramatycznego. Operę zamknięto 16 października a już 1 grudnia na nowo powitamy ją po półtoramiesięcznej pauzie. Zdawało się, że ten okres czasu zaroi się od polskich i niepolskich nowości dramatycznych i wynagrodzi panującą od roku posuchę w tym kierunku. Jednakowoż ta perspektywa zawiodła, gdyż z powodu gościnnych występów p. Modrzejewskiej odnowiono repertoar klasyczny a tylko dla okrasy weiśnięto dwie nowości tj. 3-aktową komedję p. Stanisława Graybnera „Maruder" i 4-aktowy dramat angielskiego pisarza p. Pinero pt. „Druga p. Tanqueray". O tych dwóch sztukach pomówimy

P. Graybner, były obywatel ziemski, zbankrutowawszy na roli, wziął się dość późno do literatury, bo w chwili gdy piąty krzyżyk dobiegał kresu. W pierwszych dwoch swoich utworach scenicznych „Fredziu" i „Słodkiej truciźnie", złożył niezaprzeczenie dowody pewnego talentu i zdawało się, że dalsza karjera literacka tego pisarza zaznaczy się coraz dobitniejszym postępem. „Maruder", wypuszczony w świat rok po „Fredziu", niepotwierdził nadziei tych z bardzo wielu powodów. Najpierw, co p Graybnera skłoniło wybrać tak fatalny temat? Wskrzeszać upiora szlachetczyzny w stylu Henryka Rzewuskiego, który jak wiadomo ludzi rachował dopiero od szlachciców, zdaje się nam takim samym anachronizmem w literaturze, jak bohater p. Graybnera byłby dziś anachronizmem w życiu. Szymon Horosz, szlachcic nadęty jak pęcherz, w gruncie rzeczy głupi i nie wiedzący nawet, czy rzepa pisze się przez *ż*, czy przez *rz*, rozmiłowany w kościach i popiołach swoich karmazynowych antenatów, przyjmuje ze świętem oburzeniem wiadomość o tem, że starsza córeczka ma romans z adwokatem Rzepnym. Horosz nie przypuszcza, żeby adwokat wogóle mógł mieć jakieś etyczne popędy i za usługę, ratującą honor jego syna, chce mu zapłacić tak dobrze, jak płaci cyrulikowi za to, że mu stawia bańki. Gdzie p. Graybner takiego idjotę widział? Zdawało by się, że 19 wiek wytępił tego rodzaju mumje do szczętu, p. Graybner jednak zapewnia z geograficzną dokładnością, że egzemplarz taki żyje w sanockiem. Ale to są zarzuty natury społecznej.

Jakkolwiekbądź jednak, przyznać trzeba, że sceniczna robota, a specyalnie rysunek samego Horosza, aż do 3 aktu przeprowadzone są z talentem. Dopiero dwa akty końcowe, w których autor za jednym zamachem usuwa katastrofy, żeni, podwyższa pensje swoim bohaterom itp. psuje do gruntu poprzednie wrażenie, a użycie środków, zarówno starych, jak naiwnych, wystawia autorowi świadectwo zupełnego ubóstwa literackiego. Syn Horosza, który ma być przeciwstawieniem do jego zacofanych poglądów, bo jest inżynierem w kopalni nafty (to ma być patent na postępowość) gubi 6000 guldenów w ten sposób, że pieniądze wlatują przez dziurę z kieszeni za poszewkę. Młodzieniec ten, dźwigający na sobie jarzmo posłannictwa ekonomicznego i rozprawiający o podniesieniu fortun szlacheckich zapomocą nowych pól pracy, nie jest nawet tak dowcipny, aby po namacaniu dziury w kieszeni przekonać się, czy zwitek pieniężny nie wyleciał tamtędy i nie wpadł za poszewkę. Zarząd kopalni w przekonaniu, że młody Horosz przegrał 6000 w karty, grozi mu kryminałem. Robi się awantura. Ojciec w patetycznej scenie powołuje się na genealogię wszystkich Horoszów od lat 200 i wyrzeka się syna. Tu wypływa na wierzch adwokat Rzepny. Płaci za przyjaciela 6000 zł. i od razu kupuje sobie sympatje szlachcica, który jest tylko tem zmartwiony, że nie znalazł Rzepnych w herbarzu. Jednadnakowoż i ten skrupuł zostaje usunięty. Pokazuje się bowiem, że dumny karmazyn szukał rzepy pod ostatnią literą alfabetu, gdyż nie był w zgodzie z pisownią. Teraz ku radości czułego słuchacza autor wyprowadza z dramatycznej matni wszystkich swoich bohaterów. Rzepny deklaruje się jako szlachcic, pieniądze znajdują się w kieszeni burki, młody Horosz dostaje podwyżkę pensyi, dwie panny wychodzą za mąż i wśród ogólnej harmonii familijej kurtyna spada.

W jakim celu p. Graybner napisał „Marudera", trudno się domyśleć. Jeżeli to miało być coś w rodzaju „Doktora medycyny" Korzeniowskiego, który przed pół wiekiem walczył z przesądami ówczesnego społeczeństwa zapomocą powieści i komedyj, to autor spóźnił się fatalnie. Literackiej wartości pozbawia sztukę p. Graybnera przedewszystkiem oparcie całego gmachu na błahym, drobnostkowym i niedającym się umotywować wypadku, a następnie wprowadzenie efektów rażących swoją banalnością i dawno już rzuconych pomiędzy rupiecie. Do takich należy np. pomiędzy wielu innymi posługiwanie się jakimś idjotycznym jąkałą. którego odezwania się adresuje p. Graybner wprost do galerji. Pominąwszy to, że ośmieszanie kalectwa na to, aby zyskać kilka wątpliwych dowcipów, jest środkiem grubo nieetycznym, przypomnieć należy, że dramat postąpił już o tyle, iż użycie podobnych sztuczek uważa się powszechnie za dowód ubóstwa umysłowego u autora. Co do wykonania, podnieść należy znakomitą grę p. Fiszera, w roli tytułowej. Na pierwszy plan wybili się po nim pp. Feldman, Kliszewski, Siemaszkowa, Cichocka, Gostyńska.

W „Drugiej pani Tanqueray" poznaliśmy sztukę ze współczesnego repertoaru angielskiego, który stanowi u nas teren zupełnie nieznany. Charakter jej różni się od sztuk francuskich wykluczeniem krzyczących, jaskrawych sytuacyj, któremi np. taki Sardou gra na nerwach ludzkich, jak na klawicymbale. Pisarz angielski utrzymuje cały swój utwór w tonie łagodnym i przy użyciu małych środków wywołuje potężne wrażenie. Teza „Drugiej pani Tanqueray" jest co prawda dawno udowodnioną, ale dla utalentowanego autora stanowi zawsze wdzięczny zakres eksploatacji. Chodzi o przeprowadzenie smutnej prawdy życiowej, że kobieta zhańbiona nie ma prawa wchodzić do rodziny, gdyż prze szłość jej mści się na niej samej i na jej otoczeniu aż do śmierci. Sytuacya, wymyślona przez p. Pinero, jest głęboko dramatyczną. Czterdziestoletni mężczyzna, mający odwagę stanąć do walki z opinją, żeni się z jednym z takich upadłych aniołów. Człowiek ten ma córkę z pierwszej żony. Podczas jakiejś przejażdżki dziewczątko poznaje młodego kapitana i pełne rojeń o szczęściu i miłości wprowadza go do domu rodzicielskiego, niestety po to, aby się pokazało, że ideał jej był kochankiem własnej jej macochy, co czyni związek niemożliwym. Druga pani Tanqueray, z rozpaczy, że przeszłością swoją druzgoce marzenia przybranej córki, zabija się. Dodajmy, że w sztuce tej. posiadającej bardzo dużo zalet literackich i scenicznych, grali wybornie pp. Stachowiczowa, Kliszewski, Chmieliński. Nowakowska i Woleński. *A. Chołoniewski.*

Koncert W. Żeleńskiego.

Naprózno wzywaliśmy naszego muzycznego sprawozdawcę, aby napisał artykuł o koncercie Żeleńskiego. Wymawiał się tem, że nie mógł być na koncercie i mimo naszych zapewnień, że to nic nie szkodzi, nie chciał ani słowa napisać. Jednakowoż odchodząc pozostawił na stole przez nieuwagę kilka zapisanych przez siebie kartek, których treść zdradzała pamiętnik skrupulatnie prowadzony. Ponieważ treść ta stoi w pewnym, choć bardzo dalekim związku z koncertem, z którego sprawozdanie mieliśmy umieścić, przeto przedkładamy je szanownym czytelnikom poniżej.

. . . .

„Więc na seryo spałeś? Tego bym się po tobie nigdy nie spodziewał! Sprawozdawca śpiący na koncercie...

„Nie ciskaj gromów oburzenia“, odrzekłem, na to, „nie spałem na koncercie, ale przespałem koncert, a to wielka różnica. Przyjaciel mój chciał w tem miejscu zrobić jakąś złośliwą uwagę; widziałem to po jego minie, szybko więc mówiłem dalej: „Nic mniej jednak żałuję koncertu, bo nęciły mię wyjątki z „Goplany“. Wszak wiesz, że mają ją we Lwowie wystawić.

„Wiem, odparł mój przyjaciel, ale od czasu jak „Manon Lescaut“ Pucciniego przyobiecywana nam tak długo, zmieniła się w nieuchwytną „Marę“, przyjmuję takie wiadomości, nawet z „dobrze poinformowanych sfer“ bardzo ostrożnie.

„Znów mi przerywasz, oburzyłem się, posłuchaj lepiej co ci powiem. Otóż przed siódmą godziną, (koncert zaczynał się o $^1/_2$ do 8-mej) wziałem do ręki program mający się wykonać. Uwertura, pieśni, marsz uroczysty, Goplana. Przeczuwałem już naprzód te rozkosze jakich doznam i w trakcie tego ogarnęło mię jakieś rozkoszne znużenie; począłem marzyć. Naprzód zobaczyłem jakąś salę oświetloną al giorno. Na estradzie orkiestra. Uwertura się zaczyna, drzwi od sali zamykają się i wszyscy słuchają z uwagą. Zdziwiło mnie to nieco, bo przywykłem w czasie słuchania muzyki do szmeru w sali, trzaskania drzwiami i zachwytów: z lewej strony nad suknią pani, siedzącej w pierwszym rzędzie, zaś z prawej nad greckim profilem panny Mani. Cisza i spokój zaimponowały mi więc... Wtem na estradzie ukazała się śpiewaczka. Szmer pochwalny rozległ się naokoło, a przy pierwszym zaraz tonie zachwyt ogarnął moich sąsiadów, Wyznam ci szczerze, że zrobiło mi się wśród tych zachwytów jakoś nieswojo, bo przysiągłbym że śpiewaczka ta nie może do rzędu swych zalet policzyć głosu. Po drugiej pieśni owładnęło mną zdumienie i zapytywałem się sam czy przypadkiem nie uległem złudzeniu, które cudowny głos śpiewaczki daje mi słyszeć jako brzydki chrapliwy organ? Dociekania moje przerwały brawa i głośne pochwały wśród których doleciały mię słowa: „Ach co za szkoła, co za inteligencya, deklamacya!“ Od tego punktu marzenia me stawały się coraz dziwaczniejsze i plątały się coraz bardziej. Zobaczyłem za estradą potężną postać Sebastyana Bacha, którego szarpał za rękaw jakiś organista niemiecki krzycząc: I ja także pisałem fugi! nie jestem mniejszy od ciebie, bo wiem co to są *voces cancricantes motu contrario!* Pośród tremolanda skrzypiec ukazała mi się melancholijna twarz Mendelssona, którą wkrótce zastąpiła jakaś głowa ubrana w perukę z „Zopfem“. Z rytmem polonesa granego przez orkiestrę przeleciał koło mnie Szopen, aż wreszcie chór filistrów unisono z orkiestrą zaspiewał jakiś utwór, z którego odróżniłem tylko refren. *Es lebe die Kapellmeister Musik!*

Zegar uderzył dziewiątą i obudziłem się ściskając w dłoni ów nieszczęsny program.

„Rzeczywiście, rzekł mój przyjaciel. Dziwaczny to sen i godny takiego, jak ty, niepoprawnego fantasty. Co do mnie nie byłem na koncercie, ale ze sprawozdań wiem jak pięknie się udał. Mianowicie...

„Stój! przerwałem mu. Przeczytaj sobie ten urywek listu, jaki znalazłem dzisiaj w jednej z cukierń.

Przyjaciel mój odczytał następujący list: Kochany Janie! Parę dni odbył się u nas koncert Żeleńskiego. Pod sekretem ci powiem, że od „Konrada Wallenroda“ Żeleński kroczy, ale w tył. Marsz uroczysty nie tęgi ani treścią ani opracowaniem. Pieśni bardzo ładne, ale szkodziło im wiele wykonanie. Goplana nieco wodnista ale trzeba by ją zobaczyć na scenie, bo z estrady trudno osądzić. Ostatnie trzy tańce dobre, ale nie bardzo oryginalne, zresztą brakuje w nich zacięcia, a mazur zamienia się niejednokrotnie w walca. Wogóle Żeleński obecnie nie może sobie poradzić z fakturą, i wszystko się jakoś rozłazi, a że w dodatku nie odznaczał się nigdy zbytnią inwencyą, więc całość sprawia wrażenie takie, jak gdyby się wypisywał. Przytem brak mu piętna narodowego, za mało jest modern, ale już o to mniejsza. Przedewszystkiem inwencya i opracowanie, a te u niego obecnie szwankują. Tylko na miłość boską zachowaj ten list przy sobie, nie dawaj go nikomu czytać. Sprawozdanie. moje brzmi całkiem inaczej, ale tak być musiało, albowiem.

Tu urywał się list, który nie doszedł zapewne swojego celu, skoro go znalazłem w cukierni w pół przedartym.

„Oto masz, rzekł mój przyjaciel gotowe sprawozdanie, tylko je drukować.

„Mój drogi, odparłem, list ten zanadto jest szczery, aby się nadawał na sprawozdanie, a zresztą mogłoby to.

Tu się kończą kartki z dziennika naszego sprawozdawcy. Pozostaje więc nam tylko przeprosić szanownych czytelników za zawód im zrobiony i odesłać ich do gazet, w których obszerne i fachowe sprawozdania były umieszczone.

Redakcja.

NOTATKI LITERACKIE.

(S. Ry.) Na pułkach księgarskich pojawiła się skromna książeczka, która zapewne wśród frapujących publikacyi przemknie się niepostrzeżenie, ale która zasługuje, aby na nią zwrócić uwagę miłośników sztuki dramatycznej. Jest to tomik znanych bardzo dobrze i tak sympatycznych jednoaktówek Zygmunta Przybylskiego, które ze względu na swój zupełnie odrębny liryczny charakter, stanowią w scenicznej literaturze naszej świeży, a tak pożądany dorobek. Zygmunt Przybylski nie umie sięgnąć okiem do głębi duszy ludzkiej, potrafi jednak pochwycić pewne charakterystyczne drobiazgi z wprawą dobrego obserwatora. Niepodobna streszczać tych jednoaktówek, są to prawie same oderwane scenki, które zajmują przepysznem tłem, zaczerpniętem z codziennego życia, i wdzięcznem obrobieniem scenicznem. Najlepszy, wedle naszego zdania, jest popularny „Pierwszy bal“, który obok zwykłej w tego rodzaju utworach Przybylskiego, świeżości i niekłamanego liryzmu, pomimo epizodycznej treści i pobieżnego traktowania figur, ma kilka doskonale wykończonych postaci, wziętych wprost z życia. Prześliczny, pełen poezyi jest jednoaktowy obrazek „Bzy kwitną“ To samo mniej więcej da się powiedzieć o innych, w tym tomiku zawartych komedyjkach, wszystkie bowiem napisane są w jednym i tym samym tonie i nie różnią się zbyt wybitnie co do wartości literackiej. Amatorskie sceny nasze, które porywają się nieraz ze śmieszną lekkomyślnością na trudne sztuki, wymagające ogromnych studjów, powinny wprowadzić bezwarunkowo wszystkie jednoaktowe perełki Przybylskiego do stałego swego repertoaru.

Odpowiedzialny redaktor Jan Mańkowski. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego we Lwowie, ul. Słowackiego l. 4.